Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po 4 kr. za następne po 2 kr.; w dodatku po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

23. Lutego 1856. **№ 24.** **Rok trzeci.**

Sierota wielkiego świata.

II.

(Ciąg dalszy).

Wróćmy do pracowni malarza.

Po odejściu kobiet usiadł Adolf w fotelu i zadumał się. Malarz przechadzał się niespokojnie pomiędzy rozstawione kolumny; obaj byli jakoś za nadto rozdrażnieni, a żaden z nich nie miał odwagi przerwać milczenia. Kilka chwil tak upłynęło.

Wreszcie wstał Adolf, a zatrzymując idącego ku niemu malarza, rzekł do niego:

— I cóż z nią mówiłeś?

— Powiedziałem jej, że Gustaw jest na złej drodze, odpowiedział tenże.

— Jak to?.. Czemuś to uczynił?

— Bo tak jest w istocie.

— Ty wszystko zaraz czarno widzisz Auguście. Mój brat jest może trochę lekkomyślny, nie obliczy się naprzód, ale ma serce najszlachetniejsze. Kilka uwag, kilka kroków fałszywych, jedno potknięcie się, a pozna, że zbłądził, i wróci na dobrą drogę.

— Adolfie, ty nieznasz twego brata. Są ludzie, na których się tylko raz popatrzeć trzeba, aby im całą ich przyszłość powiedzieć. Daj Boże, aby się inaczej stało. Prosiła mnie Ofelia, abym był jego duchem opiekuńczym.

— I będziesz nim, nieprawdaż? zawołał Adolf z zapałem, biorąc malarza za rękę.

— Będę nim, bo tego Ofelia i ty żądacie odemnie.

— O to już wierzę w szczęście Ofelii, rzekł uradowany Adolf, i w szczęście brata mego.

Malarz spojrzał z boleśnym uśmiechem w oczy Adolfa, i ujrzał w nich łzy.

— Szlachetny! pomyślał sobie.

— Zaraz możemy zacząć, ozwał się po chwili Adolf, idę do brata, pójdź ze mną.

Malarz wziął płaszcz i kapelusz, i obaj wyszli na ulicę.

Wszedłszy do pomieszkania Gustawa, zastali go chodzącego po pokoju. Zrazu nie zważał nawet, że ktoś wszedł do niego, a idąc właśnie od drzwi do okna, roztrącał po drodze stojące krzesełka, mówił coś półgłosem do siebie, i wyrzucał rękami, jakby chciał komu grozić.

Zaiste położenie jego było dziwaczne.

Napomnienie jenerała jakkolwiek łagodne i ojcowskie, wzburzyło jego krew gorącą, i przywiodło go do kroku, o którym nie pomyślał, jakie skutki po sobie odnieść może. Jeszcze do tego przyszło to napomnienie w takiej chwili, gdzie rozmarzony powodzeniem balowem, spoczywał słodko na laurach zdobytych, rojąc sobie jeszcze świetniejsze nadzieje. Nawet nie dokończył jeszcze przyjaciołom opowiadania o kwiatach i kokardkach, nie porozumiał się z nimi względem jutrzejszej zabawy, na którą już był zaproszony, nawet do tańców angażowany, a już go napomniano do pełnienia obowiązków, a napomniano go krótko i zimno, i zagrożono mu jeszcze dotego surowszem napomnieniem.

Cóż mu wypadało uczynić? W biegu do mety chciano go nagle zatrzymać, z kwiecistej błoni, po której na arabskim uganiał rumaku, chciano go zawrócić do ciemnej, wilgotnej rajtszuli, z salonów i kobierców do brudnej, zimnej kancelarji.

Gustaw nie namyślał się długo, napisał do jenerała, prosząc o dymissją.

Wysławszy służącego z tym pismem, odetchnął wolniej. Myślał że mu kamień spadł z serca, że wszystkie te kwiatki i kokardki przed zachłanną ręką jenerała na zawsze uratował. Zdawało mu się, że przebył wielką kataraktę życia swego, a przebył ją szczęśliwie. I byłby nawet do nieba westchnął, i za udzielenie łaski poświęcającej do wykonania tak trudnego dzieła serdecznie podziękował, gdyby właśnie w tej chwili nie było mu przyszło do głowy, że wielką niedorzeczność uczynił. Gdy pierwsze wrażenie przeminęło, począł jakoś rzecz jaśniej widzieć, i póty mu się co raz więcej przed oczyma rozjaśniało, póki nie ujrzał, że stanął nad wielką, bezdenną przepaścią.

Nie wiedział on bowiem, że jednym ciągiem pióra poniszczył wszystkie młodociane marzenia, i wywrócił nagle to wszystko, nad czem tyle lat, z taką usilnością, z takim zapałem pracował. Całą swoją naukę, owe noce bezsenne, okupione latami życia, owe słodkie owoce pracy swojej, które już były dla niego zakwitły, wszystko to rzucił w tej chwili poza siebie jak nieużyteczny balast, który stopy jego ociążał. Była to jednak dopiero strata moralna.

Opuszczając swój zawód, stanął nagle na rozdrożu życia, i nie wiedział, w którą stronę się rzucić. Nareszcie zabrakło mu zasobów, majątek jego chodził gdzieś po edyktach i subsellach, ale edykta i subsella nie mogły mu dać ani najskromniejszych procentów.

Pomoc brata była w takim razie niedostateczną, a najbardziej zatrwożyło go, że w obec świata stracił nagle wszelką pozycją, że wszystko to, na czem stał dotąd dzisiaj z pod jego nóg się usunęło. Dopiero teraz poznał

że nie tylko stanął nad przepaścią, ale że już leci do niej, że tylko cudem opatrzności uratować się może. A jak to bolesno wyglądać dzisiaj tego cudu, żądać czegoś co się tak rzadko w świecie wydarza, i wmawiać w siebie nadzieje, o których już naprzód się powątpiewa!

Niespokojnym krokiem chodził po pokoju, darł na sobie mundur i rumienił się na samo wspomnienie, że musi u brata żebrać łaski, że przed nim musi się upokorzyć, nad którym niegdyś górował, i w dodatek do skromnej pomocy przyjąć od niego uśmiech politowania a może i łzę żalu nad utratą owych dumnych marzeń, które dzisiaj tak nierozsądnie zmarnował.

Przechodząc koło stolika spojrzał na kamelię i na kilka kwiatków, dla których wszystko to, nad czem dotąd pracował, poświecił, i ujrzał je zwiędłe i zgniecione. Leżały one przed nim jak czerepy potłuczonych butelek, na które patrzy wytrzeźwiony pijanica. Barwa ich przygasła jak resztki świec balowych, a z nią uleciało to wszystko, co go do nich tak nęciło!

— Może jeszcze czas, pomyślał sobie, cofnę moje podanie, pobiegnę i zniszczę, nim dójdzie do rąk jenerała.

Przypasał pałasz... ale przypasał go po raz ostatni. Do pokoju wszedł służący i przyniósł mu odpowiedź od adjutanta, że podanie jego już w rękach jenerała.

Gustaw odpiął pałasz i rzucił go na posadzkę, a jeśli sam na nogach się utrzymał, to nie było jego zasługą, ale skutkiem nowej myśli, która mu w tej chwili przyszła do głowy.

— Nierozważny krok uczyniłem, rzekł do siebie, zerwałem nagle z całą moją przyszłością, od dzisaj rozpoczynam nowy żywot i nie wiem jeszcze, jaki cel sobie położę, i jakiemi środkami tego celu dobijać się będę. Jestem jak łódź bez steru, i nie wiem gdzie mnie fala zaniesie!... Wszak i Ofelia sobie tego życzyła?..

...I grajcież wiatry, zaszumcie fale,
Dalej do żagiel, do wiosła!
Wodo, gdzie niesiesz, nie dbam ja wcale,
Byleś mnie nazad nie wniosła!...

Rzekłszy to nabrał znowu dobrej fantazji, i wraz z Haroldem puścił się na ocean marzeń złocistych. Chodząc po pokoju zdawało mu się że płynie po sinych falach morza, a płynie gdzieś do krain bajecznych po złote runo szczęścia. Krzesła rozstawione po pokoju, wydały mu się jak fale piętrzące się ku niemu, jak skały sterczące z otchłani morskiej... ale nic go nie mogło powstrzymać w szalonej jego żegludze!

W takiem to usposobieniu zastali go dwaj przyjaciele. Adolf zdziwił się, widząc taki nieporządek w pokoju, malarz wpatrzył się w rozmarzoną twarz Gustawa.

— Przychodzę Gustawie, rzekł brat do niego, zapoznać cię z moim najserdeczniejszym przyjacielem, prosić cię w jego imieniu o to samo zaufanie, jakie we mnie pokładasz. Niekóre koleje losu łączą nas sercem i duszą, nie miejmy przed nim żadnej tajemnicy. Jest to malarz J. powrócił nie dawno z podróży po Europie. Wiedząc że i ty rozmiłowany jesteś wtej sztuce, pragnie twojej przyjaźni.

Gustaw uścisnął serdecznie malarza, a widząc jego czarny na pół żałobny ubiór, rzekł do niego:

— Serca artystów chciwe są uczuć przyjaźni a dla przyjaciół szczere i otwarte. Żyłem wiele z nimi i znam ich dokładnie. Są jednak chwile w życiu, gdzie to serce jeszcze więcej niż kiedykolwiek pragnie przyjaciela, gdzie aż do dna otwiera się przed nim, by mu okazać boleść swoją lub złote nadzieje... i zdaje mnie się, dodał, patrząc na ubiór malarza, że obaj wzajem siebie potrzebujemy.

— Pan jesteś jasno widzącym, odpowiedział malarz zrozumiawszy spojrzenie Gustawa, serca mego nie zamknąłem przed światem, bo zresztą cóż tam w niem świat wyczytać może?...

— Mówiłem o przyjaźni mój panie, rzekł Gustaw z łagodnym uśmiechem.

— O dla niej to nawet sam mogę być ciceronem, i oprowadzać ją po wszystkich ciemnych zakątkach, odpowiedział z humorem, który dowodził, że żył w świecie i znał go dobrze.

Gustaw podał gościom cygara i począł rozmawiać o balu wczorajszym, wymieniał wszystkich gości po imieniu, znał doskonale ich genealogją i fortunę, przymioty i przywary... rozmawiał o innych zabawach, które jeszcze przed popielcem odbyć się mają, słowem prowadził dyskurs, jaki tylko prowadzić może człowiek na wielkim świecie żyjący i z jego stosunkami szczegółowo obznajomiony. Słuchając tego opowiadania, usłyszał wprawdzie malarz wiele imion znanych i szanownych, mimo to nie mógł z tego wszystkiego wnosić, aby Gustaw w samej rzeczy te swoje laury w salonach tak zwanego „wielkiego świata" zrywał. Były to wprawdzie salony, wytworne i obszerne, ale na tych salonach nie było wszystko tak wielkie, aby razem cały „wielki świat" stanowić mogło. Były tam często imitacje i surogata, tem szkodliwsze, że pozorem nie jednego złudzić mogły. Na takim to „wielkim świecie" rozpoczął Gustaw swoją karjerę, a że fałsz często z prawdą się zetknie, toż i Gustaw w karjerze swojej zetknął się często z ludźmi, którzy go co raz wyżej w towarzyskich jego stosunkach popychali. Z tego osądził malarz dostatecznie położenie Gustawa.

— Ale, gdy już, jak mówiłeś Adolfie, żadnej tajemnicy między nami nie ma, kontynuował dalej Gustaw opowiadanie swoje, to ci jeszcze mam tę nowinę powiedzieć, żem dzisiaj jenerałowi za służbę podziękował.

Adolf zerwał się z krzesła i wypatrzył na brata. I na malarzu uczyniła ta nowina nie małe wrażenie.

— Tak jest, kwitowałem i to w tej godzinie, dodał Gustaw, myśląc, że go dobrze nie zrozumiano.

— Kwitowałeś! zawołał Adolf z wyrazem największego zadziwienia.

— A jużciż musiałem kwitować, jeśli mnie obrażono napomnieniem, jeśli mnie śród mego towarzyskiego powodzenia chciano nagle odwołać i odebrać mi najdroższe moje nadzieje.

— Może to się stało w chwili uniesienia, wtrącił nieśmiało malarz, może przy zimniejszej rozwadze dałoby się to wszystko pogodzić i napomnienie i powodzenie.... widzisz pan, jak zaraz z przyjaźni pańskiej korzystam, dodał z rozlaną na twarzy szczerością.

— W uniesieniu można wprawdzie zrobić krok nierozważny, odparł Gustaw, ale gdy się już stało, to trzeba się jakoś przed sobą samym usprawiedliwić.

— Więc już tego cofnąć nie można? zapytał Adolf.

— Już się stało!

— Czy obliczyłeś skutki tego kroku? rzekł Adolf po chwili, czy wiesz, że tym krokiem zerwałeś z całą twoją przeszłością, żeś zburzył to wszystko, na czem dotąd stałeś... Cóż poczniesz teraz?

Nastąpiło długie milczenie. Gustaw nie wiedział, co na to odpowiedzieć, a malarz uważał za rzecz niestosowną, mieszać się teraz między braci. Wziął do ręki jakiś szkic, co leżał na stoliku i wpatrzył się w niego. Wreszcie ozwał się Gustaw.

— Zapewnie że to jest dziwno, aby swój zawód nagle porzucić. Ale cóż robić. Najostrzejszy gwóźdź nie pójdzie prosto, gdy na żelazo trafi. Musi się skrzywić.

— Byle się tylko nie złamał, rzekł malarz z westchnieniem, tak jak mnie złamano.

Gustaw spojrzał na malarza, i obaj zrozumieli się. Uczuł w tej chwili gorące przywiązanie do malarza, bo pokrewne ich dusze tem spojrzeniem do siebie się zbliżyły.

I Adolf zrozumiał te wzajemne spojrzenia, ale jakąż różnicę widział między bratem a malarzem. Wprawdzie byli oni wtem do siebie podobni, że obadwaj, zerwawszy z przeszłością, nowy żywot rozpoczynali, ale jak wielce różnili się w obranym kierunku. Gustaw zerwał z przeszłością, która była owocem ciężkich prac jego, i rzucił się nową jakąś drogą, która go ostatecznie tam zawieść mogła, z kąd właśnie malarz powrócił. A była to droga prowadząca do moralnego upadku, do ruiny tego wszystkiego, co tylko w nim szlachetnego pozostało... I malarz zerwał z swoją przeszłością, ale zerwał z tem tylko, co go w błocie trzymało, co mu się podnieść nie dało.... a uwolniwszy się od tego kału wszedł w nowy zawód, w zawód pracy. Taka to między nimi była różnica, jeden się dźwigał, a drugi upadał!

— I cóż poczniesz teraz, ozwał się wreszcie Adolf, jaki zawód życia wybierasz sobie? Jakaż będzie dzisiaj twoja pozycja? Ludzie pytają się zazwyczaj: Kto on jest, czem się trudni?... Jakaż na to odpowiedź?... Spytaj się naszego przyjaciela Augusta, on przechodził podobne koleje, to ci odpowie, czy się to nie tak dzieje!

— Nie wiem, czy tak krótka znajomość pozwoli na to, abym szczere moje zdanie wyjawił.

Gustaw podał malarzowi rękę.

— Już to dla świata mówił malarz, trzeba koniecznie pozycji, chociażby ona była najniższą, najsubtelniejszą. Ludzie bez żadnej pozycji są to jak mchy, które lada wietrzyk oderwie i niemi pomiata.

Gustaw na to nic nie odpowiedział, oparł głowę o poręcz kanapy i zadumał się. Czuł on prawdę tych słów nowego swego przyjaciela, bo na tyle miał rozsądku, że każdy swój błąd uznał, tylko nie miał na tyle sił, aby się od tych błędów na dal powstrzymać. Był on dzisiaj podobnym do człowieka leżącego w letargu; słyszał wszystko i czuł wszystko, a nie mógł sobą władnąć.

— Jakże to Ofelia przyjmie? zapytał Adolf.

Gustaw spojrzał na malarza. Zrozumiawszy to malarz rzekł z łagodnym uśmiechem:

— Znam Ofelię i wiem, ile pan ją obchodzisz.

— Pan znasz ją? zapytał ciekawie Gustaw.

— Poznałem ją w domu hrabiny N.

— Ofelia, rzekł po chwili namysłu Gustaw, sama tego niegdyś żądała. Zawód mój wydawał się jej za hałaśliwy, ona pragnie zaciszy.

— Jeżli tak, mówił Adolf z twarzą rozweseloną, to trzeba raźno rzecz dalej prowadzić. Jużcić stało się, a cofnąć się nie możesz.

— Otóż tak mnie się podobasz Adolfie, zawołał Gustaw, rzucając się na szyję bratu, naprzód! naprzód! nie lubię sygnałów do odwrotu.

— A więc jeżeli naprzód, to idźmy naprzód, rzekł Adolf siadając do stolika i biorąc za pióro, tylko niech cię pierwej zaopatrzę w amunicją. Trzeba twój błąd jakoś naprawić. Będzie to wprawdzie więcej dla świata niżeli dla ciebie, ale tego ci właśnie teraz potrzeba. To ci może zastąpić utraconą pozycją.

Adolf zaczął pisać, a Gustaw nierozumiejąc go czekał z wielką niecierpliwością końca tej zagadki. Po chwili wstał Adolf, a podając bratu papier do ręki, rzekł do niego:

— Oto jest cessja z mojej strony, i przeniesienie naszych ośmkroć stotysięcy na twoją osobę. Zrzekam się wszystkich do tego pretensji i czynię ciebie i twoich sukcesorów właścicielami całej tej sumy.

Gustaw rzucił się na szyję bratu i rozpłakał z radości.

— Tyś szlachetny, ja tego nie godzien, tegom nie zasłużył, wołał śród łez.

— A tu masz wszystko to, com dotychczas z tego majątku mógł wyprocesować. Podniosłem kilkuletnie procenta, jest to ładna sumka, może ci być bardzo użyteczną do twoich zamiarów.

— Adolfie, jam niegodny takiego poświęcenia! wołał Gustaw, czem ci się odwdzięczę?

— Szczęściem Ofelii, rzekł Adolf.

— Szczęściem Ofelii, powtórzył malarz.

W tem otwarły się drzwi z łoskotem a pokój napełnił się nowymi gośćmi, których Tryton prowadził. Powstał krzyk i hałas.

— Gustawie, Gustawie, krzyczano zewsząd, jesteśmy przy dobrej fantazji, a ciebie brakuję, trzeba coś zrobić, coś wyprawić...

— A to co za papier trzymasz w ręku? zapytał Tryton wyrywając mu cesją... Słuchajcie, słuchajcie: Ja niżej podpisany odstępuję Gustawowi * w mojem i moich sukcesorów imieniu wszelkie pretensje do sumy ośmkroćstotysięcy..

— Ośmkroćstotysięcy!

— Ośmkroćstotysięcy!...

I nic więcej nie było słychać, jak tylko te: ośmkroć sto tysięcy!

— Winszujemy ci, winszujemy, ozwało się kilka głosów po chwili.

— Otóż mieliśmy coś wyprawić, zawołał Tryton, więc wyprawimy ci instalacją na kawalera ośmkroćstotysiącznego.

*

— Jeszcze coś więcej ujrzycie, rzekł Gustaw w szale swego szczęścia, odchodząc do alkowy.

Wszyscy spojrzeli po sobie, coby to jeszcze być mogło, i zdziwili się nie mało, widząc Gustawa wychodzącego z alkowy w ubiorze cywilnym. Od zadziwienia aż oniemieli, myśląc że Gustaw bawi się w Pinettego.

— Kwitowałem, rzekł patetycznie.

— Kwitowałeś? zapytali słowem i oczami widzowie.

— To installacja i chrzest cywilny odbędzie się razem, zawołał Tryton, pójdźmy, pójdźmy!

— A szczęście Ofelii? szepnął Adolf bratu do ucha.

— To właśnie droga do niej, odpowiedział Gustaw.

Teraz dopiero spostrzegli goście kuligowi Adolfa i malarza.

— To mój brat Adolf, odpowiedział Gustaw.

— Prosimy razem, prosimy, rzekł Tryton.

— To pan Jasiński, znakomity artysta, przyjechał z Rzymu, prezentował dalej gospodarz.

— Prosimy, prosimy, wołano chórem, cisnąc się do drzwi.

Ostatni z pokoju wychodzili Adolf i malarz.

— Ty pójdziesz z nimi Auguście, rzekł Adolf, i będziesz mu duchem opiekuńczym.

— Pójdę i będę przy nim, odpowiedział malarz, ale są chwile, w których i anioł-stróż grzesznika odstąpić musi!... C. d. n.

Stary.

Cudowne kwiaty i pyszne ogrody,
Na falach morza ujrzał żeglarz młody;
I wnet zamarzy o podwodnych światach,
Pysznych ogrodach i cudownych kwiatach.

A gdy tak sercem złudne ścigał mary,
Wyszedł z kajuty jakiś majtek stary,
Z litością w oku spojrzał na młodziana,
I rzekł mu: chłopcze, to *fata morgana!*

I by rozpędzić złudę tego blasku,
Rzucił do morza kilka garści piasku,
A gdy zjawisko znikło śród odmętu,
Roześmiał się majtek i wszedł do okrętu.

Ale w kajucie było dziś nieludno,
Nudzi się stary, na ławie mu brudno,
Wylazł na maty, na wiszących matach
Sam czytał powieść, o cudownych światach!

J. C. Z.

Procesowicze.

Szkic obyczajowy.

Ciąg dalszy.

Smutne myśli towarzyszyły mi gdy wychodziłem z starego dworu. Proces dobił moich staruszków, proces wydarł ich dziedzicom stare gniazdo rodzinne, i proces osiadł na długie lata ze wszystkiemi brudami i fałszami swemi, w tym dworku szlacheckim, w którym przez lat tyle mieszkała święta zgoda.

Myśli tych długo pozbyć się nie mogłem, i pomału przechodziłem w pamięci mnogie znane mi przykłady tej procesomanji. Aż mi włosy na głowie stanęły, gdy przypominałem sobie tyle smutnych procesowych wynikłości, jakie widziałem, i gdy wówczas dopiero zrozumiałem, jak ogromnie u nas rozgałęziona jest ta procesomanja.

Rzeczywiście pieniactwo jest u nas tak chorobą moralną, jak kołtun ma być chorobą fizyczną, w czego dowód nazwano ją *plica polonica*.

Najlepszym tego dowodem, że nigdzie tak dobrze jak u nas nie przyjęła się instytucja adwokatów, którzy znaleźli już w charakterze narodowym żyzne dla siebie pole. W żadnej też prowincji, nie przyszli oni do takiego znaczenia jak w Galicji, ani też do tak znakomitych majątków. Prawodawstwo jakie dziś mamy sumienne aż do drobiazgowości, w wymiarze słuszności, musiało się przez to samo oprzeć na mnóstwu form, które schwytane przez nasz własny do procesów pociąg, i przez schlebiających temu narowowi adwokatów, stają się źródłem procesów bez końca, procesów nieraz najśmieszniejszych, bo trwających długie lata, a co *apriori* można było wiedzieć, nie mogących mieć żadnego wydatkom odpowiedniego rezultatu.

I narów ten istniał u nas od najdawniejszych czasów. Od góry aż do dołu pełno było zawsze procesów, często o lada drobnostkę, o kawałek miedzy ledwie kilkanaście złotych wartej. Trybunały nasze zarzucone były sprawami prywatnemi, a micenasowie i patroni, smażyli sobie głowy nieustannie, by nowym jakim konceptem przekręcić lub obejść prawo. Zastanowiwszy się głębiej nad tym narowem naszym, niemożna zaprzeczyć, że ten narów jakkolwiek śmieszny i szkodliwy pochodzi z szlachetniejszego nieco źródła, bo z zamiłowania naszego w ścisłej słuszności. Podstawą pieniactwa w Polszcze, była niezaprzecznie prawa w gruncie chęć utrzymania się przy słuszności. Z drugiej strony ten nasz pociąg do pieniactwa wyrobiony na taką u nas stopę, i od tak dawna, dowodzi poniekąd wyższego i dawniejszego wykształcenia narodowego. I tak jest w rzeczy samej. Prawodactwo polskie sięga nadzwyczaj dawnych czasów. W wiekach kiedy u ościennych porozrzucane tylko były niektóre ustawy prawodawcze, myśmy mieli już porządniejsze takich ustaw zbiory. Umiejętność prawodactwa narodowego, należała koniecznie do wychowania polskiego szlachcica i obywatela, powołanego już ze stanowiska swego społecznego, na to aby w publicznem narodu swego życiu, występował czynnie i stanowczo. Z tego zatem wszystkiego musiało się może wyrobić to nasze zamiłowanie w procesach posunięte u nas nieraz do niesłychanego stopnia. Jakkolwiek jednakże da się ten narów narodowy z szlachetniejszego wyprowadzić źródła, niemniej przeto jest on nadzwyczaj nam szkodliwy, bo rzuca cień na charakter narodowy, a co najgorzej, najfatalniej działa na finansowe położenie krajowców, których majątki najogromniejsze nieraz padły w bezdenną przepaść procesową, rozerwane na sztuki przez adwokatów i komorników.

Ciekawy i nader zabawny byłby to zbiór wszystkich takich procesów, rzec by można o wiatr, jakie się nieraz u nas odbywają. A jakie to pocieszne wyrabiają się charaktery procesowiczów, pełne niezłomnej stałości, lepszej sprawy godnej.

Mieliśmy tu w mieście naszem starego szlachcica sławnego z swej namiętności do procesów. Własny znaczny majątek przeprocesował, i ogołocony ze wszystkiego chodził w sukni przetartej i połatanej, z ogromnym plikiem aktów i rezolucji sądowych w zanadrzu. Niezmordowany biegał z piątra na piątro od adwokatów do sędziów, których był postrachem, bo żadnego niewypuścił, póki mu nie wydeklamował całego procederu swojej sprawy. Akta te i rezolucje drabować, ślęczyć nad niemi dzień i noc, albo co milej jeszcze, złapać kogo na parę godzin, i tak sobie wygodnie a rozwlekle opowiadać cały tok sprawy, i przy każdej okoliczności wymienionej zacytować, i żywcem pokazać alegat odpowiedni, to była największa rozkosz. Niedojadł, niedopił, niedospał, aby zapłacić stempel. A co to za tryumfatorska mina, gdy nowym jakim konceptem mógł przedłużyć proces, i wzbogacić obszerne jego pełne epizodów dzieje. Żadnym nie mówił językiem tylko polskim, prócz technicznych wyrazów procesowych, które mu utkwiły w głowie, i któremi w każdej szafował rozmowie. Nieprzeszkadzało mu to udawać się do najwyższych urzędników, a nawet i samemu przedstawiał cesarzowi, czyli raczej cesarzom. W rzeczy swoich procesów był u cesarza Józefa gdy był we Lwowie, i później u cesarza Franciszka w r. 1817. Całą tę przestrzeń czasu niemało przeprocesował. Walczył z najokropniejszą nędzą, ale procesował się ciągle, szczęśliwy, jeżeli błądzącego po ulicach wyszukał woźny z nową jaką rezolucją. I umarł biedak z głodu prawie niedokończywszy procesu, oczekując jakiejś ostatniej rezolucji, niemożliwej oczywiście, jeżeli by miała zadowolić i uspokoić umysł jego zapełniony pieniackiemi kruczkami.

W tej mierze najniepodobniejszych można doświadczyć rzeczy. Pieniactwo bowiem jest namiętnością tak silną, że zwolenikom swoim nadaje podobieństwo do ludzi szalonych.

Przyjechałem raz do szlachcica jednego na wieś. Pan Franciszek był to najpoczciwszy człowiek, usłużny dla znajomych i przyjaciół, gościnny w własnym domu. Za takiego przynajmniej znałem go, i po długiem wybieraniu się odwiedziłem go razu jednego. Zbliżając się do wioski uderzyło mnie niepospolicie zaniedbanie roli zupełne prawie; a szkoda bo szlachcic miał czarnoziem podolski prawie.

— Dziwna rzecz! pomyślałem sobie. A przecież nieraz podziwiałem ekonomiczne i agronomiczne jego wiadomości.

Zapomniałem zapewne w tej chwili, że my się znamy na wszystkiem jak najlepiej, a mówimy o wszystkiem po cycerońsku prawdziwie.

Staję przed dworem. Aż mnie za serce ścisnęło. Dom poszarpany, nie pobielony, obdarty wyglądał jakby po pobojowisku; jednem skrzydłem swojem piątrowem niby chylił się do upadku. Gumna stodoła, stajnie, chlewki, rozsypane po dziedzińcu, prawdziwe dzieci obdartego domu, z rozczuchranemi strzech głowami, walają się po błocie, które w około gnije. Płoty bez płotów, wrota bez bramy, ogród bez drzew. Sucho, czarno, odarto, błotnisto i samotnie.

— Tfu, splunąłem. Czy pomyliłem się czy co? pan Franciszek uchodzi przecie za majętnego i wykształconego człowieka.

Wychudzony pies, prawdziwy suchotnik, zawył na przywitanie zachrypniętym głosem, bo już nawet szczekać niemógł. Ruch się zrobił przecież i w ganku którego przyczołek zgięty naprzód wyglądał jakby czapka na oczy zsunięta, pojawił się jakiś parobczak i jakaś dziewka, ubiorem, czystością i całą powierzchownością w zupełnej z dworem harmonji. Na moje zapytanie, czy pan jest w domu, popatrzyli się na mnie ciekawym i głupim wzrokiem, otworzyli gębę na oścież, ale nic nie odpowiedzieli. A gdym się ku nim zbliżał, znikli co prędzej nazad. Biedny pies z wycia przechodził w skowyczenie.

Sam niewiedziałem co mam robić, i wielka brała mnie chętka zrobić prawo w tył, i dyrnąć co prędzej z tej siedziby smutnej i posępnej. Gdy nagle wyszedł sam gospodarz, zaciągając na drugi rękaw jakiś rodzaj chałata, przy czem to tylko dostrzegłem że na koszuli i na palcach mnogie były plamy z atramentu. Za uchem miał pióro z którego ostatnia łezka atramentowa wisiała nad siwawemi jego bakenbartami.

— A witajże! zawołał z uśmiechem, który rozpromieniał twarz jego posępną i zgryzioną. Daruj że zaraz nie wybiegłem. Ale ten Karo tak cicho szczeka. A te draby Hrycko i Paraszka nie powiedzieli mnie zaraz. Jurka zaś mego posłałem do miasta do adwokata. Ach! ach!

Tu westchnął razy kilka a ciężko.

— Sam byłem zajęty! dodał wreszcie.

— Zapewne rachunki gospodarskie? spytałem.

— Diabła tam! czy to człowiek ma czas.

Przestraszyłem się.

— A nuż wpadłem w samotrzask! pomyślałem w duchu. Może to kolega literat, i zechce mi czytać płody swoje. A ja chciałem odpocząć po pięknej literaturze na łonie pięknej natury.

I obejrzałem się mimowolnie za bryczką.

— Ty się oglądasz po dziedzińcu, że tak u mnie?

— Jakoś? chciałem grzecznie dokończyć.

— Bo to widzisz człowiek czasu niema. Ale będzie to, o będzie inaczej. Żebym tylko proces skończył.

— Jak to? masz proces?

— Co myślisz? bieda człowieka i na gładkiej zdybie drodze. Gdzie mnie tam myśleć o reperacjach, o budynkach, kiedy mi ten ksiądz, co ze mną sąsiaduje, swoim płotem wlazł w ogród, aż poza okóp graniczny.

— Nie potrzebniem tu wlazł, pomyślałem sobie, i powątpiewałem bardzo o zabawie i odpoczynku, jakich szukałem na wsi.

— Ale powiedz mi! mówiłem dalej, czy miałeś gradobicie, czy co takiego, że tak czarno u ciebie na polu...

— Bo nie zasiano!

— Nie zasiano? zawołałem z zadziwieniem.

— Ot nieszczęście panie i kwita! Wyobraź sobie że w czasie właśnie najgorętszym siejby, musiałem siedzieć we Lwowie dla tego procesu.

— Z księdzem?..

— A gdzie tam!.. Imajnuj sobie, że mi ten wykrzta Szmulewicz co to wiesz przy oberży wisi, wydał akcję o jakieś faktorne, które miałem mu przyrzec kupując wieś... Ale przegra! o dalipan przegra! ja sobie nie dam w kaszę napluć.

— I o wieleż to szło?

— O pięćdziesiąt ryńskich!..

— Ależ mój drogi! mówiłem dalej z mimowolnym uśmiechem; mnie się zdaje, że lepiej zapłacić było, i zasiać pole... mniejsza byłaby strata.

— Co? zawołał, i stanąwszy na progu własnego domu, zwrócił się do mnie z pełnem komicznej powagi oburzeniem. I ty mi to mówisz! ty, który jako literat, jako piszący, za prawdą i prawością przemawiać powinieneś. Więc ja szlachcic i jaki szlachcic, miałem ustąpić jakiemuś mechesowi, miałem dać sobie wydrzeć, miałem wyrzec się prawa mego, ugiąć się i stchórzyć. Nigdy! nigdy... Widzisz! mam ot ten mająteczek nie zły, mam dwóch synów i dwie córki, wolałbym wraz z nimi wyjść z własnej wioski z torbami na plecach, a niżeli ustąpić, kiedy mam prawo za sobą, kiedy przecie w sądach sprawiedliwość znaleść można.

Na takie rzymskie sentymenta nie było co odpowiedzieć; westchnąłem tylko, przeklinając w duszy moją sielankową ochotę, co mnie tu przywiodła. Lecz pan Franciszek nie myślał milczeć. Był w prawdziwym ferworze, który w takiej sprawie dokonywał tego niemożliwego cudu, połączenia śmieszności z wzniosłością.

— Ja już taki z rodu!.. Lepiej umrzeć niż ustąpić. Miałem brata jedynego, z którym mieszkałem razem długie lata, Przyszedł interes... a ty wiesz podobno o nim...

— A wiem niestety! odrzekłem i westchnąłem, przypominając sobie ten smutny proces.

— Kochałem go... ale przecie nieustąpiłem, i długo bardzo, dodał z pewną dumą, sprawa nasza sławną była w lwowskich jurysdykcjach. Ale przepraszam ciebie, że cię na dworze zatrzymuję, chodź do mnie, tam ci opowiem mój trzeci najważniejszy proces, a wtenczas przekonasz się, że nie ma w tem wszystkiem mojej winy. A ciekawy to bardzo proces! to prawdziwa łakotka adwokacka!..

Szedłem jak na ścięcie. Wchodzimy wreszcie do domu. Jak na polu, jak na dziedzińcu tak i w domu. Smutno jakoś, zimno jakoś, a brudno, a obdarto, a duszno aż tchu w piersiach brakuje. Wszędzie proch, wszędzie pajęczyna! wszędzie wyszczerza się zaniedbanie. I smutno i nudno mi się zrobiło. Przebiegłszy kilka pokoi wprowadził mnie do ostatniego który był jego kancelarją.

Tam było jeszcze gorzej, bo ciemno. Było wprawdzie okno, ale do pół zawalone jakiemiś nieporządnie zrzuconemi papierami, do pół zakryte szafą z której sterczały naprzód buszaste fascykuły.

— Zaraz ci opowiem i pokażę. Ręczę żeś w życiu nic ciekawszego nie słyszał.

To rzekłszy przystąpił do wielkiego stołu chaotycznie papierami zarzuconego, i wsadził okulary na nos.

— Bądź zdrów! pomyślałem sobie, trzeba ci było włazić w taką matnię!.. Oj lepiej już podobno było słuchać młodych poetów deklamujących czułe swe pogadanki z niebem i ziemią, z ptakami i barankami, księżycem i strumykiem.

— Ale siadaj proszę ciebie. Siadajże.

Łatwo mu było to powiedzieć, ale uskutecznić trudniej nieco. Bo po prostu nie było gdzie usiąść, były wprawdzie i stołki, był i rodzaj sofki, ale gdziem się przysunął, z każdego kąta szczerzyły się do mnie fascykuły, patrząc groźnie a nieruchomie, tym jednym złowrogim stępla okiem. Na moje szczęście był tam kuferek z wiekiem tak kolisto wygiętym że się na nim żaden fascykuł w równowadze utrzymać nie mógł. Tam więc choć niezbyt wygodnie usiadłem.

— Może byś co zjadł! wyrzekł nagle. Ozwala się przecie w panu Franciszku gościnna żyłka polskiego szlachcica. Ale ja ci to w krótkości opowiem, a potem pójdziemy na śniadanie.

Westchnąłem. Procesowicz przeważył gościnnego szlachcica.

I zaczął opowiadać, ale nie dotrzymał słowa, bo opowiadanie było długie. I innem być nie mogło, gdy co chwila najciekawsze epizody procesowe illustrował allegatami, które mi to pokazywał, to nawet deklamował. Jaki to był proces niepowiem, bo i sam ledwie pamiętam, i mniejsza o niego; a nareszcie za to, że mnie dwie godzin znudził pan Franciszek, mamże mścić się na czytelnikach moich. Dosyć że był to proces, jak wszystkie dobre procesa, w których prawdy nie domacasz, słuszności nie dojrzysz, a końca nie przewidzisz. Był to prawdziwy Paktol dla adwokatów, tabularny labirynt z Minotaurem ruiny szlacheckiej w końcu.

— A co, wyrzekł w końcu, słyszałeś kiedy co ciekawszego. Pierwsze nasze prawniki połamali sobie rogi na nim. Patrz! dodał z dumą i żałością razem; takie to mnie zdybują nieszczęścia.

Nic mu na to nie odpowiedziałem, ale w duszy uderzyłem się w piersi, i zacząłem serdecznie przepraszać wszystkich najnudniejszych literatów. Koniec końców, najlichsza poezja, smaczniejsza i strawniejsza od najdoskonalszego procesu.

Pamiętny będzie to dla mnie dzień. Bo choć wyszliśmy z kancelarji, choć zadowolniwszy namiętność własna, u pana Franciszka zbudził się gościnny szlachcic, który mnie najserdeczniej podejmował, jako brata szlachcica, a co więcej gościa; cóż mi to pomogło, kiedy żyłem dzień cały w tej dusznej atmosferze procesowej. A nawet i przy obiedzie, choć zamilkł gospodarz o prawie, a natomiast wiele gwarzył o swoich ekonomicznych wiadomościach i planach, przypominał mi smutno proces, gdy stare moje i zużyte zęby musiały wystąpić do walki z kurą, która o tyle była chuda o ile tłuste i smarowane tłusto fascykuły procesowe. Lecz tak to zawsze bywa. Odwetowałem sobie na dobrych choć trochę ciemnych kluskach, i byłbym

już z resztą dosyć rad z losu swego, gdyby nie manja pana Franciszka.

Sam nie miał już żadnego innego procesu, ale miał kilka w perspektywie, i choć przeklinał swój los, i gwiazdę pod którą się urodził, widocznie uśmiechał się do tej nadziei. A cóż dopiero gdy wpadł na procesa swoich znajomych i nieznajomych, przyjaciół i nieprzyjaciół. On znał wszystkie, i o wszystkich rozpowiadał, jako prawdziwy artis peritus, jako rzetelny smakosz, podnosił wszystkie memorabilia procesowe. Z początku starałem się zagadywać, zwracać rozmowę, w końcu zmęczony próżną walką, jak ów tonący, porznąłem w tym potopie procesowym, który lał się z ust pana Franciszka...

Aż odetchnąłem, gdyśmy poszli spać. Aby mnie więcej uhonorować, kazał mi posłać w własnym pokoju sypialnym.

— No teraz odpocznę przecie! pomyślałem sobie, a do dnia, skłamię interes, i dyrnę do miasta, choćbym miał wpaść prosto w jaką młodziutką sielankę.

C. d. n.

Rozmaitcść.

* **Zgrabna kradzież.** była jak wiadomo cnotą starannie pielęgnowana w Sparcie. Po Spartanczykach wzięli ją jak się zdaje w spuściznie, rosyjscy żołnierze, których zgrabność w tej mierze do europejskiej przyszła sławy. Jako dowód służyć może następująca anegdota, głośna dotąd w całym Petersburgu. Najdzielniejsi w tym zawodzie byli strzelcy gwardyjscy, którėmi dowodził wówczas jenerał Bistrom. Ta część miasta w której stała ich kasarnia, skarzyła się bez ustanku, o kradzieże nadzwyczaj częste i zuchwałe. Jenerał Martinów dowodzca placu zmęczony nieustannemi skargami, doniósł o nich cesarzowi Mikołajowi. Jenerał Bistrom powołany przed cesarza, ujął się jak najgoręcej za żołnierzy swoich, a oskarżenie przedstawił jako intrygę własnych nieprzyjaciół. Tymczasem jednego poranku, rzeźnikowi jakiemuś zginęło świeżo zabite cielę. Ślady krwi na śniegu szły aż do kasarni strzelców. Poobstawiawszy warty komendant udał się do samego cesarza chcąc go zaraz przekonać, i jenerała Bistrom poniżyć. Cesarz Mikołaj przywoławszy dyrektora policji wraz z małym oddziałem policyjnym, udał się sam na miejsce. Całą kasarnię zrewidowano od strychu aż do piwnicy, lecz cielęcia nigdzie nie było. Cesarz złajawszy Martinowa, i wyrzekłszy kilka łagodnych słów do jenerała Bistrom odjechał. Po jego odjeździe jenerał Bistrom zawołał do ustawionej gwardji:

— Ci co ukradli ciele, niech wyjdą na front.

Czterech gwardzistów wystąpiło naprzód.

— Gdzie jest to ciele? mówcie prędko i śmiało.

— Panie jenerale jest w kasarni. Policja oddała mu właśnie ostatnią posługę.

— A to jakim sposobem?

Pokazało się że gwardziści widząc zbliżającą się rewizję, wsadzili ciele co prędzej do próżnej trumny, w trupiarni stojącej. Ajenci policyjni zobaczywszy trumnę kirem przykrytą, otoczoną świecami, i człowieka śpiewającego żałobne przy niej psalmy, skłonili się, przezegnali się i zmówiwszy pacierz odeszli.

Złodzieje dostali od swego jenerała znaczne dosyć pocześne, i ojcowskie napomnienie, aby i nadal byli równie ostrożni i gracko.

* **Doskonałe prawo.** W Chinach istnieje szczególne dosyć prawo, mocą którego nie dłużników zamykają za długi, ale wierzycieli za to, że, jak się wyrażało prawo państwa niebieskiego, pożyczaniem pieniędzy podsycają marnotrawczą żyłkę lekkomyślnych utracjuszów. Nie wdając się w ocenienie logiki tego prawa, przyznać potrzeba że to chińskie prawo znalazłoby u nas wiele entuzyjastycznych zwolenników, a tak n. p. nagle wprowadzone w życie, więzienia za długi zapełniłoby ludnością nadzwyczaj zacną i przyzwoitą.

Nowiny lwowskie

* **Nadesłane.** Dnia 27go Stycznia 1856, zakończyła życie Ludwika z Mogielnickich Rymińska. Była to jedna z małej liczby kobiet istotnie zapoznanych. Szanowna obywatelka w przyjaźni niezachwiana, córka i żona z największem poświęceniem, nie umiała i nie chciała przestrajać tych cnót w barwę, któreby jej jednali poklaski świata. Ostatnie chwile życia pełne zawodów i goryczy znosiła w cichości i z pokorą niewiasty chrześciańskiej. Zgon jej był także smutny i osamotniony, a zbolała dusza uleciała przed tron Boga po nagrodę której tu nie znalazła. Cześć i pokój jej cieniu!..

J.....

* Mało komu wiadomo, że mamy w mieście naszem wieczory muzykalne, które by i w większej stolicy znaczenie miały swoje. Są to wieczory muzykalne co wtorek przypadające, u p. hr. Józefa Starzyńskiego. Gospodarz sam i ojciec jego przeszło lat 70 liczący hr. Leopold Starzyński, obaj są nadzwyczaj muzykalni, i obaj grają na skrzypcach z wielką biegłością. Rozczulającą jest rzeczą widzieć jak nieraz ojciec i syn występują razem, i zastanowienia godna jest siła z jaką ojciec, człowiek tak wiekowy, większe pokonuje trudności muzyczne. Na te wieczory przychodzą i muzycy z profesji, i dyletanci, i odbywają razem to sola to tercety, kwartety i sextety. I nie zajmują się lekszemi utworami; przeciwnie wybierają pod przewodnictwem obu hrabiów same wielkie i klasyczne utwory, takich kompozytorów jak Hajden, Mendelsohn, Henselt, Bethowen, Chopin i t. d. Rozumie się że biblioteka muzykalna hr. Józefa jest w tej mierze nadzwyczaj bogata we wszystko to, co się tylko gdziekolwiek na świecie muzykalnym pojawi. Wieczory te wywierać mogą wpływ niepospolity na tych, którzy mogą być przytomni wykonywanym tam utworom, lub słyszeć tam nadzwyczaj trafne o muzyce zdania. Mieliśmy sposobność przekonać się o tem, na jednym z ostatnich wieczorów, na którym pomiędzy innemi był i nasz młody fortepianista p. Łapczyński. Jest to jedna jeszcze i wielka zasługa tych zacnych gospodarzy, że każdy z artystów muzycznych znajduje u nich gościnne przyjęcie, tam składa dowody swego talentu, i niejako przechodzi przez ogień probierczy, zdania takich znawców, jakiemi są hrabiowie Starzyńscy i jacy się na tych wieczorach zgromadzają. Tem więc zaszczytniej dla młodego ziomka naszego, że na tym wieczorze powszechne uzyskał uznanie swoją grą znakomitą, rokującą wedle zdania wszystkich wielką przyszłość, większą piżeli ją dotąd osiągnął który z naszych rodaków na fortepianie grających. Zadziwił siłą, precyzją, i pewnością z jaką odegrał wielkie Trio Mendelsohna, i jeden koncert Henselta tak sławny z swych trudności, że go dotąd nikt prócz Liszta nie odegrał, w całej utworu tego wzniosłej okazałości.

* Wyszło właśnie z druku nowe dziełko pod tytułem: **Łatwy sposób rozpoznawia ziemi ornej, aby ją ulepszyć, wraz z niektóremi uwagami nad uprawą roli.** Autorem tego dziełka jest pan T. Torosiewicz, zaszczytnie znany i wielce u nas zasłużony mąż, który literturę i nauki przyrodzone wzbogacił mnogiemi rozprawami, pisanemi w zawodzie chemicznym, któremu oddaje się z zapałem, i niezaprzeczoną znajomością rzeczy. Mamy wiele jego broszur, mianowicie o krajowych wodach mineralnych, które on pierwszy dla powszechnego pożytku chemicznie rozebrał, by łatwiejszem uczynić lekarskie zastosowanie onych do zdrowia ludzkiego. Niezmordowany w zawodzie swoim, stara się on w tym piśmie swoim zwrócić uwagę powszechną na zastosowanie chemii do gospodarstwa rolniczego, zastósowanie mogące, wszelkie rolnictwu przynieść korzyści. Rozbiera on w tem dziełku rozmaite gatunki ziemi ornej, sposoby rozpoznawania każdego gatunku i poprawienia roli za pomocą stosownych nawozów. Przekonani jesteśmy o tem, że ważnem jest nader, i nie małe przynieść może skutki po-

trąceniu tej kwestji przeznaczonej wielką w przyszłości odegrać rolę. Dziełko to wydał własnym kosztem, i przeznaczył na dochód szkoły agronomicznej w Dublanach. Komitet towarzystwa gospodarskiego przyjął ten dar z wdzięcznością, wyrażoną w liście dziękczynnym, i jako cenę broszurki przedawanych w księgarniach lwowskich, postanowił 20 kr. m. k.

Przyjechali od dnia 18. do 20. Lutego do Lwowa.

PP. Gottleb Fel. z Dolnicz. Mittig Mich. z Przemyślan. Victorini Otn. z Morszczowa. Dąbrowski Jak. z Janowa. Węglowski Konst. z Balic. Łopuszański Bol. z Czyszek. Pestendorfer Ant, z Wiesenberga. Urbański Rud. z Dobroszyna. Mozarowski Ant. z Witkowa. Duniecki Józ. z Stanisławowa. Zabielski Józ. z Przemyśla. Hr. Dzieduszycki Jan z Siechowa. Kirchmeyer Jan ze Stryja. Hoszowski Leon z Stanisławowa.

PP. Widowski Fel. z Mikuliniec. Hr. Łoś Włod. z Dołżanki. Hr. Badeni Alex. z Glinian. Jastrzębski Emil z Lubaczowa. Jastrzębski Wal. z Lubaczowa. Rylski Hen. z Dłużniowa. Sokołowski Konst. z Pniatyna. Bobrowski Konr. z Tarnopola. Wiśniewski Jan. z Korowiec. Morawski Konst. z Pohorec. Komarnicki Bol. z Jaskowiec. Biliński Fel. z Zelechówki. Ziembicki Hen. z Dobrostan. Sozański Sylw. z Kornalowic. Lewicki Józ. z Kanina. Kubicki Józ. z Budomirza. Raczyński Fel. z Małnowa. Grabowski Izyd. z Zelechowa. Zakrzewski Adolf, z Stanisławowa.

Wyjechali od dnia 18. do 20. Stycznia ze Lwowa.

PP. Sinaszewski Fran. do Rejdonia. Rodzijewicz Ant. do Janowa. Rymiński Leop. do Horyhład. Link Franc. do Krakowa. Pragłowski Alex. do Komorowiec. Piłatowski Jan do Boberki. Kasperski Franc. do Uhnowa. Dobrski Kar. do Radrusza. Czerwiński Stan. do Mieczyszczowa. Guzkowski Marcin do Wynadowa. Rudnicki Stan. do Toporowa. Jaworski Jan do Sokala.

PP. Fałkowski Mich. do Bełzca. Terlecki do Przemyśla. Niementowski Andr. do Bolechowa. Kędzierski Jul. do Brzeżan. Rodakowski Wac. do Kończak. Rodakowski Alex. do Kończak. Kierski Nik. do Kozłowa. Szawłowski Lud. do Przywłoka.

Kurs telegrafowany z Wiednia 22. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 105 złr. .	$104\frac{3}{4}$	Pożyczka 5%	$82\frac{3}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$76\frac{3}{4}$	Akcye banku	1022
Londyn za 1 funt szterl.,	10.15	Kolej północna	——
Medyolan za 300 lirów	$105\frac{1}{2}$	Obl. ind.	77
Paryż za 300 franków .	$121\frac{7}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$105\frac{1}{8}$
Agio duk. ces.	$9\frac{3}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$84\frac{1}{16}$

Dzisiejszy Kurs Lwowski

	Gotówką złr.	kr.	towarem złr.	kr.
Dukat holenderski				
Dukat cesarski	4	53	4	57
Półimperyał zł. rosyjski	4	55	5	—
Rubel papierowy	8	25	8	32
Rubel srebrny rosyjski	—	—	—	—
Talar pruski	1	37	1	39
Polski kurant i pięciozłotówka	1	32	1	34
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	1	11	1	12
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	88	—	88	30
5 proc. pożyczka narodowa	75	—	76	—
Śrebro	83	30	84	30
	—	—	—	—

Na drodze między Mikulińcami i Trembowlą zginęło z psiarni strusowskiej trzy gończe psy srokate rasy angielskiej. Ktoby o tychże za nadgrodą 30 złr. m. k. jaką wiadomość udzielić mógł, raczy to uczynić do zarządu ekonomicznego dóbr Strusowa, poczta Mikulińce.

(G. 58. 3—3)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**